

AFRYKA

Gdy dojeżdżaliśmy do Erfoudu było już całkiem ciemno. Jak zwykle wstaliśmy później niż zamierzaliśmy wyjechać, zimowe dni trwają i tu krótko - po 10 godzinach następuje malowniczy zachód słońca i... egipskie, a raczej marokańskie ciemności.

Z opisów motocyklistów wiedziałem, że z Erfoud przez Rissani prowadzi asfaltowa droga do samej Merzougi, ale wystarczyło skręcić w lewo, by wyjechać na drogę krótszą... Asfalt skończył się po kilku kilometrach, ale offroad był twardy i wyglądał bezpiecznie. GPS Mio wskazywał kierunek i odległość: trzydzieści parę kilometrów. Pierwszy wyrznął Enzo, zlekceważył objazd i pojechał tak jak wskazywała droga, parów nie wyglądał na głęboki, ale my jeszcze nie potrafiliśmy odróżnić podłoża twardego od piachu. Maciek ciężko kuśtykał, ale zażądał światła, by obejrzeć szkody w swojej wypieszczonej rd07. Dwa dni później widzieliśmy jak po 76 glebie w złości kopie swoją Afrykę.

Rrrrrrmys... przód mi się uślizgnął i nie było czasu na reakcję. Co zresztą mógłbym zrobić? Wystawić nogę? To zdążyłem. Mój 12 letni pasażer leży na piachu obok mnie, - Synu, wszystko ok?

Ile razy będę go o to pytał?

Ruszyliśmy, w światłach Afryk droga co rusz pojawia się i zanika przecinana śladami landrowerów, pajero, pathfinderów, landcruiserów. To przecież okolice Erg Chebbi, w sezonie to bardzo popularne miejsce, jedna z największych atrakcji Maroka. Erg to typowa forma pustyni saharyjskiej, typowa ale dla Algierii. W Maroku te olbrzymie ponadstumetrowe wydmy występują tylko w okolicach Merzougi. Zaplanowaliśmy, że jutrzejszy wschód Słońca obejrzymy właśnie na nich. Ale wokół ciemna noc i hotelu nie widać...

Do Merzougi jeszcze kilkanaście kilometrów. Zatrzymujemy się. Gasimy silniki i światła. Nie widać nic, kompletnie nic. Nie pamiętam takiej czerni, tylko niebo, choć bezksiężycowe, jest bliżej nas niż gdziekolwiek na świecie. Gwiazdy po prostu wałęsają się na głowę. Mleczna droga jest bardzo wyraźna, ale w tym natłoku gwiazd nie potrafimy

znaleźć konstelacji znanych z naszego nieba: Wielki Wóz zniknął gdzieś wśród gwiazdozbiorów, których u nas z lunetą szukać.

Eksperymentujemy. Mio jedzie drogą, ja próbuję obok, Jojna szuka przygód daleko od niej, a Enzo kombinuje to tu, to tam. Widać już światła Merzougi, gdy naprzeciw nas wyjeżdża jakiś moped. Podjeżdża i zaprasza do swojego hotelu. Z pięknej kasby na wzgórzu Jusuf obserwował nas już od kilkunastu minut. Światła widać tu na kilometry, a my trochę jeździliśmy krzywo...

W środku kilku Berberów gra i śpiewa przy kominku. Twarde negocjacje doprowadzają do satysfakcjonującego nas poziomu 7 euro za nocleg (12 wraz z wyżywieniem). Zostajemy.

A tak po kolei? Po kolei to trzeba by zacząć od czerwca i pękającej linki sprzęgła w Szymka Afryce. Nieudolnie próbowałem mu pomóc ruszyć i upadając złamałem rękę. Operacja, gips, rehabilitacja. Wyrok: do października koniec z motocyklem. A to przecież koniec sezonu!! No i w głowie zrodził się chytry plan by ów koniec nieco przesunąć. Maroko! Zacząłem o tym paplać na prawo i lewo. Poparł mnie z tym wyjazdem mocno Waldek, za chwilę zgłosił się Mio. Szukaliśmy czwartego do brydża. Po wahaniach przystał do grupy Jojna, ale za to zrezygnował Waldek. Po chwili objawił się Enzo i mieliśmy komplet.

Wiadomo było, że chcemy jechać autem, bo listopadową pogodą nikt nie chciał pałować przez całą Europę, poza tym przemawiały za tym względy ekonomiczne.

Były oczywiście momenty zwątpienia: 3 dni przed wyjazdem Jojna zakomunikował, że jednak motocykle nie wejdą do transita. Faktycznie nie dało się tak jak planowaliśmy, ale mieliśmy mnóstwo planów rezerwowych i improwizowaliśmy z powodzeniem. W ogóle cały wyjazd był spontaniczną improwizacją. Ja nie wziąłem OC od skody, Mio zapomniał zabrać naszych ubezpieczeń, pozostawiałem jakieś mapy, ale za to inni wzięli wszystkiego aż nadto.

Niby sporo o tym Maroku wiedzieliśmy, ale:

- nie mieliśmy zarezerwowanego żadnego hotelu
- nie mieliśmy pojęcia gdzie zostawić samochód
- 2 tygodnie przed wyjazdem Enzo zorientował się, że nie ma paszportu.
- nie znaliśmy rozkładów promów

- nie było wśród nas nikogo kto posługiwałby się popularnymi w Maroku językami: arabskim, francuskim, berberyjskim czy choćby hiszpańskim. Zналиśmy za to sporo języków nieprzydatnych w krajach Maghrebu: polski, rosyjski, niemiecki i angielski.

Z drugiej jednak strony :

- mieliśmy mapy, niestety nazwy miejscowości nie zawsze się zgadzały
- mieliśmy GPS, niestety bez mapy Maroka, ale dzięki niemu zawsze znaleźliśmy swoją długość i szerokość geograficzną :-)
- mieliśmy mądrą książkę Sahara Overland Chrisa Scotta. Tam było wszystko czego potrzebowaliśmy. Czytaliśmy ją po drodze, a powinniśmy wcześniej.
- mieliśmy dużo wszystkiego w naszych przepastnych bagażach.

Niektórzy z nas już na początku zorientowali się, że ich ekwipunek nie jest kompletny i na pierwszym postoju dokupili po dywanie.

Poza tym szybko okazało się, że stanowiliśmy ekipę zdolną rozwiązywać każdy napotkany problem. Ekipę, która przynajmniej na początku eskapady miała energię zdolną zamienić siki w benzynę...



Ostatnie tankowanie przed M6

autor Michał Gilka

Merzouga to mała wioska na skraju Sahary, 3 ulice, kilka sklepów. Ostatnio padało tutaj 4 albo 6 lat temu. Tubylcy myślą się w zeznaniach. W każdym razie tak dawno, że już nie

pamiętają. Świt zastał nas na Ergu, słusznie uznaliśmy, że nasze Afryki będą zbyt ciężkie i skorzystaliśmy z pojazdu z napędem 4x4. Kobiety, podkulawiony Enzo i Mikołaj jadą na camelach, a Jojna, Mio i ja zapychamy na butach.



W drodze z Erg Chebbi, motory zamieniliśmy na wielbłądy
autor Maciej Migda

Niby jest przed świtem, ale jest już jasno. Wdrapujemy się na czubek jakiejś wydmy i czekamy. Słońce pojawia się nagle, większość z nas widziała ten świt tylko jednym okiem, drugim patrząc przez aparat i pstrykając fotki.



Wschód słońca na Erg Chebbi
autor Maciej Migda



Wydmy Erg Chebbi
autor Michał Giłka

Tarzamy się po tych wydmach jak dzieci i psujemy je zostawiając wszędzie nasze ślady. Po południu przyjdzie wiatr i wszystko wyrówna, następnego dnia po naszych śladach nie będzie nawet śladu. Erg to nadzieja tubylców. To on ściąga co roku dziesiątki tysięcy turystów, wystarczy tylko sprawić, by zostali na chwile, by wyciągnęli portfele i zostawili część ich zawartości.

Dzięki Ergowi pojawiła się elektryczność, z Rissani podciągnięto asfalt a z el Rachidii wodociąg.



Droga M6 niedaleko Hi Ramlia
autor Maciej Migda

Tankujemy w jakimś małym sklepie, benzyna droższa 20 procent niż na stacji, ale do niej jest 50 kilometrów, dwa dni później na pustyni będziemy płacić 50 procent drożej i będziemy szczęśliwi, że było co wlać do zbiornika. Miejscowy Mohammed leje nam benzynę z butelek po wodzie, butelki przezroczyste, ale waha w każdej ma inny kolor, mimo to wierzymy że nasze moto skonsumują wszystko.



Droga M6, Tankowanie w Hi Ramlia z beczki

autor Bartek Jończyk

- Pierwszy raz w Maroko? - wszyscy mają te same pytania. Właściwie bardziej wygląda to na spostrzeżenie niż pytanie. To aż tak widać? Tutaj w Mercoudze pytają jeszcze dokąd jedziemy. - Tagounite? Nie dacie rady, za ciężkie motocykle, za dużo bagaży, pasażerowie - kręcą głowami, a na twarzach mają wypisaną jakąś mieszaninę niedowierzania, litości, politowania i obawy o los podróżnych. Nomadowie. Tutaj nie ma Arabów, jesteśmy na terytoriach Berberów, którzy od niepamiętnych czasów przemierzali Saharę z karawanami wielbłądów transportując sól, materiały, niewolników. Berberowie, Beduini, Tuaregowie - dla nich nie było granic - ustalała je natura. Przyszli biali i wprowadzili swoje porządki. Jusuf ma rodzinę, ot 30 km stąd, ale to już Algieria. Nigdy się nie widzieli. Od 1975 roku gdy Maroko zajęło po Hiszpanii Saharę Zachodnią stosunki z Algierią się pogorszyły i o wyjeździe trzeba zapomnieć. Granica jest pilnowana, a na pustyni wszystko widać na kilometry. Dla pewności gdzieś poustawiano pola minowe. Gdzie? No nie wiadomo, ustawiali jedni i drudzy nie informując się o tym nawzajem.

"Lepiej tym sprzętem nie jedźcie" - dzięki za ostrzeżenia. Mimo wszystko spróbujemy...

Termin wybraliśmy listopadowy. Wcześniej to można było jeździć w Polsce, w październiku był Ramadan. Wadą naszego wyboru były krótkie dni, zaletą rozsądne temperatury. Na dzień wystarczała nam butelka wody. W lecie motocyklista w tym kraju potrzebuje 10 litrów. O drodze nie ma co pisać. Wsiedliśmy do samochodów w Częstochowie u Jojny i właściwie bez przystanków dobiliśmy na koniec Europy.

Nie bez perturbacji znaleźliśmy hotelik, który okazał się mieć tę zaletę, że właściciel zgodził się, by za rozsądną cenę na parkingu zostawić samochody. Rankiem rozpakowywanie motorków, Enzo płacze, że jego cudo wybrudziło się w czasie transportu na przyczepce. Za tydzień będzie rozsądzał mój spór z Jojną czyje moto jest brudniejsze. Pogoda wypaśna, +16 stopni. Gotowi, zapakowani, poumierani ruszamy na podbój Maroka. Naładowani adrenaliną wyjeżdżamy z hotelu kierując się do Algeciras na prom. Nie napiszę o czym myśleliśmy wyjeżdżając. Nawet chyba nie zdążyliśmy pomyśleć, pokonaliśmy 200-300 metrów i w Jojny Afryczce rozleciało się łożysko tylnego koła. Oczywiście nie ma centralki i musimy robić prowizorkę z kamieniami. Enzo i Jojna ruszają w poszukiwaniu części u już po 5 godzinach jedziemy dalej.

Po 10 kilometrach stajemy na hiszpańskim cepeenie, gdzie Mio zahacza kufierkiem Jojnę i urywa mu ze stelaża jego alucudo. Jest piątek, czas siesty. Kto tutaj może mieć aluminiowe nity? Mija właśnie 5 minuta naszej rozpaczki, gdy z Vectry wychodzi jakiś gościu i zagaduje po polsku. Darek z Zagórza, mieszkają tu z bratem już siedem lat. Motocyklista. Ma wszystko co trzeba do naprawy w garażu, 5 kilometrów stąd. Garaż okazuje się być w podziemiach hotelu, którym administrują. Zatrzymamy się tu z powrotem, naprawa kufra trwa 5 minut, przybijamy piątkę, zostawiamy "w rozliczeniu" polskie kabanosy z dzika i ruszamy dalej.

Mijamy z lewej strony Gibraltaru i wjeżdżamy do Algeciras kierujemy się na puerto. O tej porze roku nie ma

problemów z kolejkami, promy pływają puste.

Po pół godzinie Afryki spoczywają w ładowni, a my rozwaleni piętro wyżej, patrzymy na zbliżający się ląd. Mija 40 minut i wyjeżdżamy na inny kontynent.



Droga przez Atlas Średni
autor Krzysiek Samborski



Droga M3. Przejazd przez Atlas
autor Maciej Migda

La piste, tak o tych szlakach mówią Marokańczycy. Ten na który się właśnie wybieramy ma 238 km. Chris Scott opisuje tę drogę jako łatwą, płaską i gładką. Sugeruje, że można ją przejechać w jeden długi dzień. Postanawiamy jechać dwa, by móc spędzić romantyczną noc na pustyni. Będzie zajebiste. W Taouz, ostatniej miejscowości przed szlakiem wszyscy już nam go odradzają. "Nie dacie rady, tam są dwie rzeki, jedną być może się uda, ale druga..."

Ma 5 kilometrów szerokości, dużo piachu, kamieni, dołów".

Może i niegłupio gadali, ale pojechaliśmy. Zawsze możemy wrócić jeśli uznamy, że jest za trudno.

Żebyśmy tylko wiedzieli kiedy jest za trudno...

Miesiąc po nas wystartował Dakar, podczas czwartego etapu pojeździli sobie trochę po wydmach w Mercoudze i pojechali na pustynię "naszą" trasą. Nie jechali jednak przez Taouz, ominęli rzeki przed którymi ostrzegali nas tubylcy i wjechali na szlak za nimi. Na tym odcinku wycofał się Dąbrowski i na nim awarii uległ nissan Hołka zmuszając go do wycofania się z rajdu. No ale my sądziliśmy, że tubylcy chcą nas zniechęcić...

Pustynia zaczyna się zupełnie niewinnie, ot polna droga wije się wśród hamady. Droga jest w miarę czysta, dookoła leży dużo kamieni, ale generalnie "lajcik". GPS Mia pokazuje, że jesteśmy na trasie, następny waypoint za kilkanaście kilometrów. Po kilku kilometrach droga się rozdwaja, a my bez wahania wybieramy tę która wygląda na "ważniejszą", ta jednak po kilkuset metrach znowu zaczyna przyjmować kilka wariantów. Jedziemy wolno, nikt i nic nas nie goni - mamy czas.

Temperatura około 25 stopni, widoki wspaniałe, po obu stronach ograniczeni jesteśmy jakimiś górami, Taouz za nami - jedziemy przed siebie. Z prawej strony na jakimś marokańskim komarku zapycha gościu w turbanie. To jeden z tych co odradzali nam tę podróż, jedzie swoim tempem innymi wariantami drogi niż my, bo po kilkunastu minutach okazuje się że jedziemy z nim tą sama drogą. W ogóle okazuje się, że wszystkie drogi prowadzą tu w jednym kierunku, co kilka kilometrów spotykając się i zanikając w miliardach kamieni, którymi usłany jest ten płaskowyż.

Ten facet w turbanie, jak się okazuje oczywiście Mohammed, proponuje na jednym z fotopostojów, że nas przeprowadzi za obie rzeki, chce za to 600 dirhamów czyli jakieś 60 euro. Sam wprawdzie jedzie do domu na północ od naszego szlaku, ale może zboczyć i pojechać z nami. Odrzucamy jego propozycję z pogardą, damy radę. Mija 5 minut i sam Mohamed jest w kłopotcie.



Droga M6. Nasz przewodnik Moha i jego komarek podczas negocjacji
autor Bartej Jończyk

W jego bolidzie skończyła się benzyna. Facet ma jeszcze pedały, ale wiadomo że nie da rady. Jeszcze chwilę temu chcieliśmy go zabić za jego rady, ale teraz ratujemy mu tyłek i pozbawiamy się litra z naszych benzynowych zapasów. Nie mamy miksola i facet musi się zadowolić mieszając z benzyną Motula, olej który wlewamy do silników. Machamy sobie na dowidzenia i zjeżdżamy do jakiegoś parowu, którym niewątpliwie kiedyś coś płynęło.

Piach, kamory, droga gdzieś zniknęła, a brzeg naprzeciwko jakiś taki stromy. Musimy znaleźć wyjazd. Jeden po drugim zakopujemy się w piachu, pijemy wodę, wykopujemy się, przewracamy, a pasażerowie nas podnoszą. Pierwszy wyjazd okazał się być ślepym zaułkiem, następny też. Robi się trochę gorąco, pijemy, zawracamy, jedziemy, rozglądamy się, patrzymy do mapy, trochę na GPS, a wyjazdu nie ma...

Znowu pojawia się Mohammed i mówi, że znalazł wyjazd.



Ait Benhaddou, hollywoodzki plan filmowy
autor Michał Gilka

Ma honor sukinsyn, pomogliśmy mu to się odwdzięcza. Jojna na wertepach urywa kolejny kufer. Dobrze, że ma tylko dwa...

Przytroczamy alu pasami do stelaża i posuwamy się dalej. Tak, posuwamy bo trudno powiedzieć, że jedziemy. Nie mamy już prędkościomierzy, to są wolnościomierze. Przydałyby nam się raczej liczniki gleb, potu i wkurwienia.

Ceuta jest hiszpańską enklawą w Afryce i za wódkę płacimy w euro - wiemy że trudno będzie ją kupić w Maroku. Tankujemy do pełna nasze zbiorniki po 0,7 euro za litr i ruszamy do Maroka. Granica jest dla nas tajemnicą, wszyscy dają nam do wypełnienia jakieś druczki, przy których musimy uruchamiać naszą wyobraźnię i zgadywać co należy wpisać w kolejnej rubryczce. Idzie nam to nieskoro, mijają 2 godziny i ruszamy dalej. Zdażyło się już ściemnić, ale wymieniliśmy kasę i możemy skoncentrować się na poszukiwaniu noclegu.

Jedziemy wzdłuż morza, zatrzymując się co rusz i negocjując cenę w każdym napotkanym hotelu. Tak dojeżdżamy to Tetouanu, gdzie lądujemy w samym centrum miasta, tuż przy medynie. Motocykle trafiają na zamknięty parking przy hotelu, bagaże do pokojów, a my ruszamy do medyny coś zjeść.



Medina w Tetuanie

autor Maciej Migda

Uliczki wąskie, domy wymalowane na biało. Jest już późno, ale wszędzie handel trwa w najlepsze. Klucząc po zakamarkach, zaczepiani przez nibyprzyjaciół, naganiaczy, dobrzeżyczących, tylko zainteresowanych i ciekawskich dochodzimy do Alibaby. To lokal polecany przez przewodnik Pascala jako tani i dobry...

Dziewczynom nie bardzo się podoba, ale mnie przekonuje widok policjantów, którzy jedzą przy jednym ze stolików. Zamawiamy jakieś kurczaki, herbatę, frytki, colę. Dziewczyny wizytują kuchnię i wyglądają na lekko przerażone standardami higieny. Ale Afryka ma inne standardy, jemy zastanawiając się jak też nasze żołądki poznają się z afrykańskimi bakteriami. W hotelu zalewamy je zakupionym w Ceucie trunkiem o symptomatycznej nazwie "Black Death".

Dojeżdżamy do tej pierwszej rzeki. Nie ma dramatu, damy radę. Nie taka głęboka, nie ma wody, kamieni, ot trochę piachu. Pasażerowie przemierzają ją na butach, a my walczymy na miękkim podłożu - poszło gładko, bez strat własnych. Naszym poczynaniom przypatruje się kilka osób i dwa pasące się wielbłądy. Dzień się powoli kończy. Moha wciąż prowadzi, mamy świadomość śmieszności całej sytuacji: wyprawa na supermotocyklach jedzie gęsiego za ubranym w turban Berberem na komarku...

Dojeżdżamy do Auberge Ouezina. GPS nie ma dla nas pocieszających informacji: przez pięć godzin zrobiliśmy 31 kilometrów pustynnej trasy. W rzeczywistości było tego trochę więcej, bo błędziliśmy w poszukiwaniu szlaku. Nie ma mowy o żadnych negocjacjach z sympatycznym Berberem, który prowadzi tę przystań dla wędrowców. Jesteśmy skazani na siebie. My zbyt zmęczeni, by chciało nam się rozbijać namioty, a on świadomy że jesteśmy jedynymi ludźmi w promieniu kilkuset kilometrów chcącymi zostawić kilkaset dirhamów na jego końcu świata. Dla wielu z nas to był najpiękniejszy wieczór tej podróży. Ciemności, które otoczyły tę glinianą chałupę były aż gęste od emocji, które nam towarzyszyły. Ogień, nasze wzajemne zainteresowanie sobą, bariera językowa, wspólna kolacja i bębnienie, nauka wiązania turbanów, berber whisky, wspomnienia całodziennej męczarni, gleb, urwanych kufrów, zniechęcenia i obaw przed tym co będzie jutro stworzyły klimat, w którym nie trzeba było alkoholu, by poczuć się odurzonym.

Pięćset metrów na północ od tego końca świata był wbity w piasek kij, na którym zatknięto butelkę. Tu stając na palcach i w górę podnosząc komórkę udawało się wyzebrać u jakiegoś operatora jedną kreskę na naszych komórkach. Magiczne miejsce! Kilkuminutowa rozmowa z Kajtkiem była wspaniała. Wprawdzie za dużo mieliśmy wrażeń, by cokolwiek z sensem przekazać, ale i tak Kajtek jęczał po każdym zdaniu - "Ja pierdolę!".

Rzeka, którą mieliśmy przekroczyć następnego dnia według opowieści miejscowych znawców miała mieć 5 kilometrów i szczerze się jej obawialiśmy.

Żaden z nas nie dałby złamanego dirhama, że następnej nocy nie spędzimy w tym samym miejscu zawracając z niej.



Ostatnia rzeka przed Tagonite, Jojna zalewa własnie swoja afrykę ;-)

autor Maciej Migda

Tetouan był pierwszym miastem marokańskim, w którym się zatrzymaliśmy, ale czy rzeczywiście już pierwszego dnia musieliśmy zapłacić frycowe? Zaczęło się jak zwykle niewinnie - od propozycji sympatycznych gości w knajpie, że pokażą nam medynę. Pod białymi murami Tetouanu czyhał na nas przebrany za przewodnika stary wyga - naciągacz.

Byliśmy niedoświadczeni i skazani na przegraną. Wszystkie miasta arabskie mają historyczne centrum, w którym skupia się życie, Wąskie uliczki, suki, setki i tysiące straganów, sprzedawców, fryzjerów, producentów czegoś-z-niczego i sprzedawców tegoż, tysiące bez sensu wałęsających się Mohamedów, ścisk, nawoływania, a w lecie niezapomniane zapachy - oto medyna. Tu niechybnie zdążają turyści żeby poznać smak "prawdziwego" Maghrebu, i tu czają się na nich naciągacze, fałszywi przewodnicy, mistrzowie słownych zaczepek próbujących nas po kolei: hola! Italiano? Portugese? Alemania? Polonia! I zaczynał się pokaz umiejętności lingwistycznych: ten znał "Dzień dobry", kolejny "jak się masz" a facet w nibyapteczce zaskoczył nas najbardziej: reklamował swe specyfiki "nachrapanie" i "nażilaki".

Wycieczka po medynie była bardzo interesująca, nie to było jednak jej sednem i nie to zostanie nam w pamięci. Uprzejmy nibyprzewodnik wprowadził nas do jakiegoś domu, a tam schodami powędrowaliśmy na dach, by obejrzeć wspaniałe widoki rozpościerającej się pod nami medyny. Uprzejmy gospodarz powiedział, że przygotuje na dole herbatę i pozwolił nam się napawać pięknem okolicy, "Take your time" - powiedział niezłą angielszczyzną.

Kiedy my patrzyliśmy na prawo i lewo na dole trwały przygotowania do mistrzostw świata w sprzedawaniu dywanów.

Wzięliśmy w nich udział krzycząc "łacha", gdy nam się dywan podobał i "laa" jak był nie bardzo...

Mistrzostwa zakończyły się remisem, dwóch z nas zakupiło dywan, a dwóch nie uległo pokusie. Jakimś cudem dywany się zmieściły na motocyklach i już godzinę później przez posępne góry Rif mknęliśmy na południe w stronę Fezu.



Mistrzostwa Świata w sprzedaży dywanów
autor Maciej Migda

Drogi marokańskie są zdecydowanie lepsze od polskich. Asfalt jest równy, widać że 40-stopniowe upały nie przeszkadzają w jego trwałości.

Droga się wspiwała wyżej i wyżej, a na poboczach pojawiły się płyty śniegu. Co kilka kilometrów próbowali nas zatrzymać sprzedawcy kifu, ale nie potrzebowaliśmy marihuany. Pędziliśmy przed siebie spragnieni przygód, gonieni siąpiącym deszczem i przenikliwym zimnem.

Na postojach nadrabialiśmy miną, ale wszyscy wiedzieliśmy że jest po prostu cholernie zimno.

Ostatecznie Moha zgodził się wskazać nam drogę, którą jego zdaniem będziemy w stanie pokonać na swoich ciężkich sprzętach. Dojazd do Oued nie był skomplikowany, trasa była jasna.

Jechaliśmy za Mohą ucząc się od niego odróżniania tego co miękkie od tego po czym da się przejechać. Matka Ziemia wystawiała oceny natychmiast. Pojętni uczniowie jechali dalej, a ci oporni podnosili swoje motocykle.

Przewracając się i wstając, przy pięknym błękitnym niebie dojechaliśmy do wsi przy rzece-rzece. Z okazji naszego przybycia wyniesiono przed knajpę stoły, ale my zamówiliśmy tylko benzynkę dla naszych pojazdów. Miejscowe kobiety dla naszych Fatim natychmiast zorganizowały bazar próbując wcisnąć świecidełka po 20 dirhamów. Aga zaczęła domagać się jakiegoś pierścionka, ale Jojna był nieprzejednany. Paliwo na tym końcu świata było jeszcze droższe - 1,5 euro za litr, nikt z nas jednak nie wybrzydzał i wszyscy zatankowaliśmy do pełna ze zdziwieniem patrząc ileż to wchodzi do naszych baków po pokonaniu zaledwie kilkudziesięciu kilometrów. Czas ruszać.

Przed nami rzeka. Nie wiem czy miała pięć kilometrów szerokości. Może trochę mniej, bo Moha pociągnął nas trochę na północ, gdzie było bardziej wąsko. Wody nie było wcale, tak to jest z saharijskimi rzekami, że może w nich nie być wody, ale zawsze jest w nich piasek. Dużo piasku. Po chwili ściągnęliśmy kaski, kurtki, pasażerowie zaczęli przemieszczać się piechotą, a my z mozołem przepychać nasze motorki z jednej twardszej wyspy na następną. Trwało to dłuuuugo, ale złapaliśmy już rytm Berberów i przestaliśmy się gdziekolwiek spieszyć. Ten się zakopał, tamtego trzeba wypchnąć, a tego podnieść.



Droga M6. Przejazd przez rzeke.

autor Krzysiek Samborski

Słońce w grudniowym zenicie okazuje miłosierdzie - jest 26-28 stopni. Pijemy wodę i błogosławimy naszą przezorność, że nie przyjechaliśmy tu w lecie. Tutaj, po raz pierwszy

usłyszałem jak pracuje wentylator w mojej Afryce. Po 30 tysiącach kilometrów! Jeździmy slalomem między jakimiś piachami, krzaczorami, wydmami. Trochę to trwa nim zmęczeni stajemy po drugiej stronie rzeki, która nie miała wody. Tylko Jojna gdzieś zamarudził, chyba jakiś problem. Jadą! jacyś tacy szczęśliwi: Aga zeskakuje z motocykla i pokazuje pierścionek. Jojna się oświadczy! Gratulacje, uściski, życzenia. Żegnamy się z Mohammedem, który zapewnia, że dalej droga jest prosta. Rzeczywiście następne kilometry idą nam gładko, lekcje wzięte od Berbera przynoszą efekty: małe łaty piachu nie sprawiają nam już trudności: zapieramy się na podnóżkach, redukujemy bieg by utrzymać wysokie obroty i dzida...

Trzeba trzymać mocno kierownicę i nie odpuszczać. Rozpędzona Afryka przechodzi przez kilkudziesięciometrowe piachy, które dzień wcześniej pokonywaliśmy okrakiem spuszczając nogi z podnóżków. Pozwalamy sobie na coraz więcej, co od czasu do czasu powoduje efektowną glebę. Enzo leci ze swojej Afryki dwa razy na dystansie 100 metrów i zagotowany kopie ją leżącą. Mio na swych pozbawionych bieźnika gumach porusza się z godnością i rzadko korzysta z podnóżków, za to Jojna ze swym motokrosowym doświadczeniem wpienia nas coraz bardziej udowadniając, że można się nie przewracać tam gdzie według nas wszyscy powinni. Wymigiwałem się tego dnia długo od upadku, aż wreszcie nadmiar fantazji zakończył się ośmiometrowym lotem obok motocykla. Lądowanie wprawdzie bez telemarku, ale i tak oceny kolegów były wysokie. Chyba się czegoś nauczyłem - to była moja ostatnia gleba w Maroku... Ani razu nie upadłem na lewą stronę i nie musiałem testować wytrzymałości blach w lewej ręce. Symptomatyczne...

Sahara się zmienia, już nie ma kamienistej hamady, jest równy płaskowyż, na którym można sobie pozwolić na odkręcenie manetki. 70, 80, 100 km/h, wielka frajda. Trochę wymiękam jak dociera do mnie, że w razie wypadku nie można zadzwonić do nikogo, że trzeba by robić ekspedycję ratunkową, bo do cywilizacji mamy ze 100 km. Jojna na pustyni szaleje najbardziej z nas. Wszyscy jedziemy tak, że aż się za nami kurzy, ale za Jojną najbardziej. Normalnie siwy dym. Gdy się zatrzymujemy okazuje się, że za Jojną dymi się nadal. Spod siodła. A nie jest to zwykłe siodło, ale Touratech pożyczony na wyprawę od Kajtka. Po jego zdjęciu naszym zdziwionym oczom ukazuje się pożar, pali się kolejna innowacja Jojny - gniazdo zapalniczki używane do napędu pompy do materaca.

Pożar ugaszono sprawnie, Touratech tylko trochę był okopcony. Jojna dalej jednak jechał niespokojny i przerażony perspektywą dmuchania dwuosobowego materaca. Wziął ze sobą coś takiego! Pewnie dlatego nie kupił w Tetouanie dywanu.

Nie zdążymy dzisiaj do Tagounite. Rozbijamy się tuż za jakimś wzgórzem, z dala od drogi, stawiamy namioty i gotujemy posiłek. W kuchni króluje Enzo, Aga i Justyna szykują kanapki, Mikołaj znosi jakieś habazie na ognisko. Noc zapada szybko, Enzo wyciąga ostatnią zamelinowaną butelkę wódki. Zapijamy mineralną z Pluszem. Ale klimat...



Droga M6. Biwak na pustyni
autor Michał Giłka

Do Fezu dojeżdżamy o zmierzchu na resztkach paliwa. Leje jak diabli, tankujemy i pędzimy do centrum. Jak znaleźć tani hotel w 1,5 milionowym mieście? Prowadzi Enzo i trafia bezbłędnie do najstarszej części miasta Fes el Bali.

Pension Batha. Właściciel mówi, że deszcz leje tutaj od trzech dni. Pokoje znośne, ale na widok łazienki Enzo woła "O Matko Boska". Facet w dżelabie łapie natychmiast: "Matko Boska? Polonia! Walesa is my friend". Zostajemy. Jesteśmy tuż przy Medynie, rozpakowujemy nasze bagaże, a wokół nas gromadzi się coraz więcej chętnych do oprowadzenia nas po mieście, pokazania zabytków, wskazania restauracji. Zapowiada się powtórka z Tetouanu. Walczymy jak lwy tłumacząc, że niczego nie potrzebujemy, że jesteśmy znawcami Maroka, że w Fezie to my już piąty raz...

W końcu przechodzimy na język polski i udajemy że nie znamy żadnego innego. Trwało to trochę - ostatecznie na placu boju pozostaje 14-letni smyk, oczywiście kolejny Mohammed. Zna angielski, hiszpański, włoski i trochę niemiecki. - Potrzebujecie haszysz?

Nie ma problemu... Nie, chcemy coś zjeść. Mała przebiegła arabska bestia prowadzi nas wąskimi i krętymi uliczkami medyny do jakiejś knajpy. Zaulek przechodzi w zaulek, a Mohammed tłumaczy, że w feskiej medynie jest 1300 ulic i mieszka ileśset tysięcy mieszkańców. Trochę nami kręci, ale w końcu dochodzimy do ślepej uliczki, Mohammed stuka w jakieś drzwi i... Sezamie otwórz się. Wnętrze jest przepyszne, bogate dywany wiszą na ścianach, stylowe meble, zastawione stoły. Tylko klientów nie ma. Łysy właściciel na którego wołają Zidane dyktuje nam ceny: kolacja 300 dirhamów od osoby - omal nie pospadaliśmy z foteli - to 120 zł! Po negocjacjach cena spada o połowę, Zidane wraca po chwili i proponuje wino. Marokańskie za 15 euro. Mohammed parska śmiechem, ale milknie pod ciężarem spojrzenia właściciela.

- No, tego za wiele. Spieprzamy od tych zbójców! Rezygnujemy z kolacji, a Zidane daje pokaz maksymalnego wkurwienia. Ostatecznie udało się opuścić lokal bez noży w plecach, choć nie wszyscy sądzili że pójdzie tak gładko. Mohamed też daje nam lekcję: Za rogiem znajdziecie tani jatkę za 3 dirhamy...

Kolację jemy w nowej części Fezu, w Ville Nouvelle dokąd właściciel naszego pensjonatu wiezie nas swoim lanosem. Płacimy po 35 dirhamów, jedzenie ok.

A Jojna z Agą woleli zostać w hotelu. Niby woleli chińskie zupki, ale naigrywaliśmy się że mieli inne cele...

Noce nie są na tej naszej Saharze tak zimne jak opisują to w różnych książkach. Temperatura spada poniżej 10 stopni, ale da się żyć. Kolejny wschód słońca podziwiamy nie wychodząc z namiotów. Droga do Tagounite nie nastrocza już żadnych problemów.



Droga M6. Dojazd do Tagonite

autor Maciej Migda

Po drodze meldujemy się jeszcze w wojskowym forcie, gdzie koleśi którzy w niczym nie przypominają regularnego wojska notują w zeszycie nasze dane. Przeskakujemy jeszcze jakiś grzbiet górski i widzimy cywilizację. Po kolejnej półgodzinie lądujemy w centrum Tagounite. W knajpie zamawiamy herbatę, ale jak zwykle dostajemy whisky berber. Wahamy się: 50 km na południe jest Mhamid, koniec Maroka.

Nic tam nie ma wartego uwagi poza drogowskazem przy którym wszyscy robią sobie zdjęcia: "Timbuktu 52 dni" oczywiście wielbłądem. Szybka decyzja i gładkim afrykańskim asfaltem jedziemy na północ w kierunku Zagory. Po drodze mijamy trochę turystycznych autobusów i sporą wydmy - bramę Sahary, do której dowożeni są autokarowi turyści ze swoich faterlandów.

Patrzemy na nich z wyższością jakbyśmy przejechali tę Afrykę wzdłuż i wszerz. Droga wiedzie doliną rzeki Draa, po kilku dniach na pustyni zielony kolor cieszy nasze oczy, wokół rzeki rosną palmowe gaje, jakieś migdałowce i Bóg wie co... zabudowania ciągną się kilometrami, porzucamy tę idylliczną drogę i skręcamy na północny wschód w kierunku Rissani.

Nadal fajny asfalt, choć droga węższa. Każdy na niej pojazd jest wydarzeniem, można odkręcić manetkę do woli i składać się w zakręty. Jeden przypada tu na 10 kilometrów chyba...

Zapada zmrok i robi się chłodno, do Alnif przyjeżdżamy około 19-tej już w całkowitych ciemnościach. W miasteczku są dwa hotele, na tej samej ulicy, naprzeciw siebie. Wybieramy ten po naszej stronie. Motocykle lądują w recepcji, my pod prysznicami, właściciel załatwia nam butelkę whisky, a na kolację znów dostajemy tarzin. Zaczynamy mieć dość tego marokańskiego żarcia.

W dodatku wszyscy wiemy, że Jojna gdzieś w swych przepastnych aluminiowych kufrach melinuje kielbasę z Polski.

Z Alnif do Tinerhir jest zaledwie sześćdziesiątkilka kilometrów. Polna droga wiedzie przez grzbiet Jebel Sahro, ale po nauczkach które wzięliśmy na pustyni nie sprawia nam żadnych trudności.

Droga trochę kluczy, ale mamy ze sobą Sahara Overland i w razie wątpliwości zaglądamy tam. Mijamy kilka busów zapakowanych ludźmi do kresu możliwości, włącznie z dachem. To królestwo mercedesów, wśród aut osobowych w Maroku dominują marki francuskie, a w miastach rolę małych taksówek pełnią fiaty uno.

Po 60 kilometrach dojeżdżamy do równego marokańskiego asfaltu. W Tinerhir zatrzymujemy się w hoteliku, którego adres otrzymaliśmy od Polaków poznanych w hotelu w Fezie. Miło, czysto i z basenem. Rozpakowujemy bety, dopiero druga po południu, więc jest jeszcze kilka godzin dnia - jedziemy na wycieczkę. Ale Enzo niepostrzeżenie zawarł sztamę z Mikołajem i obaj nie chcą jechać. Wolą się pławić w basenie...

Jedziemy w góry w kierunku Imilchil na przełęcz o wysokości 2700 metrów. Boże jaka lekka jest Afryka bez bagaży i pasażera, wjeżdżamy w wąwóz Todra, jeden z marokańskich cudów. 300 metrowe wapienie w popołudniowym słońcu zyskują złotawy odcień.



Z powrotem na asfalcie wjeżdżamy do Wąwozu Dades
autor Maciej Migda

Ściany coraz bardziej się do siebie zbliżają, w największym miejscu pozostaje między nimi kilkanaście metrów. Dołem wiedzie nowa, dobra, asfaltowa droga. Zakręt za zakrętem, ale nie można szybko jechać - widoki nie pozwalają. Przejeżdżamy przez Tamtatoucht, jeszcze kilka lat temu nie sposób było tu dojechać bez terenowego auta. Z każdym kilometrem ściany się oddalają, aż w końcu wjeżdżamy w coś co można by nazwać doliną. Krajobraz pozbawiony jakiegokolwiek roślinności nasuwa porównania z Księżycem.

Osiągamy wysokość 2000 metrów i dojeżdżamy do jakiejś wioski, gdzie nagle kończy się asfalt. Mio na swoich supermotooponach postanawia zawrócić - rzeczywiście droga nie wygląda za ciekawie, dalej pomykamy z Jojną w dwa motorki. Do mnie przesiada się Tysia, która ma ochotę zobaczyć tę przełęcz.

Nie wiadomo skąd pojawiają się coraz głębsze kałuże. Afryka brodzi po osie i mamy mokro w butach. Cały czas do góry; po 16 kilometrach drogi, która wiedzie coraz bardziej eksponowanymi półkami skalnymi dojeżdżamy do przełęczy. Zwieszamy nogi nad przepaścią i podziwiamy widoki, nie będę ich opisywał - zobaczcie je sami na zdjęciach. Pstrykamy te fotki i porównujemy rzeczywistość z tym co utrwaliły nasze aparaty. Wygląda to trochę biednie, dookoła jest dużo ładniej niż na naszych obrazkach. Słońce coraz niżej, za chwilę zniknie za górami - pora wracać.



Przełęcz 2800 m między wąwozami Todra a Dades
autor Bartej Jończyk

Znowu moczemy się w kałużach i strumykach. Wpadamy na asfalt i odkręcamy manetki: zakręt, zakręt, zakręt. Jojna gdzieś zniknął, ale nic to. Nie przepadam za jazdą po ciemku

więc byle szybciej do hotelu. Wpadamy w dolinę w której widać każdy pojazd na kilometry. Jojny za mną nie ma...



Offroad w rejonie Todra

autor Bartej Jończyk

Jeszcze chwilę stoimy i czekamy. Telefon oczywiście nie ma zasięgu. Trzeba wracać, do głowy przychodzą głupie myśli i na każdym zakręcie rozglądamy się szukając Agi i Jojny.

Są! Mrugają na wzgórzu światłami, po kilku minutach jesteśmy przy nich: w przednim kole nie ma powietrza, a jeszcze wczoraj Jojna mówił, że wzmocnione dętki okazały się niepotrzebne i jego zwykła też wystarczyła...

Zapasowe dętki i pompka zostały w bagażach.



Sambor na szczycie Todry

autor Bartej Jończyk

Jojna z Agą zostają w górach, a my pomykamy po pomoc. Jest już całkiem ciemno i droga beznadziejnie się dłuży. Trochę głupie, ale zastanawiam się czy nie pomyliłem drogi, choć jest całkowicie ciemno to z każdym kilometrem zagłębiając się między skały Todry wydaje się ciemniej i ciemniej. W końcu w światłach motocykla widzimy największy przesmyk. W hotelu wszyscy już byli lekko zaniepokojeni naszą nieobecnością. Ściągamy koło z motocykla Enzo, mocujemy ją na mojej Afryce i Maciek rusza na mojej babci z ekspedycją ratunkową. Po dwóch godzinach zmarznięci siedzimy przy kolacji. Jemy jak zwykle tarzin...

Następnego dnia postanawiamy się rozdzielić. Wszyscy wiemy, że to co zrobił Mio ze swoją nibyAfryką na pustyni było tyleż odważne co nierozważne. Te jego kółka najbardziej pasują do Daewoo Tico niż do drogi, którą chcemy dzisiaj pokonać. 64 kilometry po ostrych górach, bez asfaltu, z przełęczą na 2800 - droga nieopisana, ale wiadomo że trudna. Z drugiej strony wiadomo, że jest do zrobienia i to sprzętem cięższym od naszego - znaleźliśmy w sieci relację Polaka, który przejechał to na Pan Europie. No wprawdzie jechali 6 godzin, ale dojechali... Trudno to nam było nawet tę drogę znaleźć, ale z niewielką pomocą miejscowych się udało.

Mijał już tydzień i nasz francuski znacznie się poprawił: z początku rozumieliśmy tylko bonżury i bonwuajaze, a teraz i agosz, drua a przede wszystkim tre, tre difisil... No więc tutaj było tre difisil, po prostu wspinaliśmy się biednymi afryczkami jak kozice po skałach. Nibydroga wiodła nas wciąż w górę i coraz chętniej jechaliśmy przytuleni do ściany i coraz bardziej baliśmy się w czasie jazdy spojrzeć w drugą stronę. Jojna trochę w tych przytulankach przesadził, zapomniał o swej szerokości i walnął kufrem o skałę co spowodowało rzucenie motocykla w przeciwną stronę.

I wprawdzie Jojna nie spadł w przepaść, ale niedużo brakowało. Aga postanowiła, że dalej pójdzie pieszo, a Jojna do końca tego dnia był potulny jak baranek i włókł się z tyłu ekipy. Wspinamy się na jedyńce, tam gdzie jest wypoczynkowo udaje nam się wrzucić dwójkę, wentylatory buczą non stop.



Jojna myśliciel

autor Krzysiek Samborski

Tam gdzie jest tre, tre difisil nawet nie myślimy o robieniu zdjętek - tak bardzo jesteśmy zainteresowani, by pozostać na dwóch kołach. Ręka coraz bardziej mnie boli, czuję chyba każdą z 7 śrub, które zamontowali mi wraz blachą krakowscy chirurdzy. Zastanawiam się czy na postoju nie powinienem tych śrub "dociągnąć" jakimś kluczykiem...

Mijamy po drodze siedliska górskich Berberów, ich pobratymcy na obrzeżach Sahary jakoś się urządzili, ci mieszkają na skalnych półkach pod rozpiętymi płachtami. Nie znają żadnego języka poza berberskim. Nie posyłają dzieci do szkół, nie mają pieniędzy, żyją ze zwierząt tak jak setki i tysiące lat temu. Tylko ubrania, które prawdopodobnie podarowali im poprzedzający nas turyści wskazują, że mamy wiek dwudziesty pierwszy. Proszą o skarpetki, oferują jakieś owieczki w zamian za moje salomony suszące się na kufrze po wczorajszych wyczynach. Wyciągamy jakieś pozostałości naszego jedzenia, drobne dirhamy, które w tym miejscu i tak niewiele są warte, dajemy i znikamy w poczuciu, że coś w tym naszym świecie jest nie tak.

Nie wiem co jadły kozy i owce, które mijaliśmy na wysokości 2800 metrów. Skąły porośnięte były czymś co miało zielony kolor, ale nie wyglądało to na pożywienie roślinożerców. Na przełęczu kilka fotek i zjazd. Droga baaardzo kamienista i trzeba uważać na uślizgi przodu. Na tej trasie uwidoczniły się przewagi mojego ostrego Maxissa nad oponami reszty kolegów - mogłem jechać szybciej i bez ryzyka.

Dojeżdżamy wreszcie do Msermir, dopadamy asfaltu, a po kilku kilometrach wjeżdżamy do wąwozu Dades i po prostu opadają nam szczęki. Dades rzuca na kolana, powala swoim ogromem, cudownymi formacjami skalnymi rzeźbionymi przez miliony lat przez przepływającą wodę. Wiedzieliśmy po co tutaj jedziemy, oglądaliśmy zdjęcia, ale to co zobaczyliśmy przerosło nasze oczekiwania.



Dojeżdżając do wąwozu Dades na wysokości 2500 m
autor Maciej Migda

Todra, która wczoraj jeszcze wydawała nam się cudem świata błędnie przy Dades. Spotykamy się z Mio i Justyną i ruszamy dalej. Po chwili w mojej Afryce brakuje paliwa i Enzo sięga do swojego zbiornika. Będziemy się jeszcze zatrzymywać kilka razy z tego powodu, dolewając po litrze to mnie to Jojnie doprowadzając Enzo do rozpaczy.

Już wiemy, że dziś nie dojedziemy do Marrakeszu, jesteśmy jednak dobrzy w improwizacji i decydujemy się na nocleg w Ait Benhaddou, średniowiecznej kaszbie, jednej z najlepiej zachowanych w Maroku, widział ją zresztą każdy kto oglądał "Gladiatora". Robiła tam za tło.

Prujemy na zachód, a słońce coraz niżej i niżej. Nie, nie mamy żadnego zdjęcia z tego zachodu, a oddanie tego to co się działo na niebie wymagałoby od nas talentu na miarę literackiego Nobla. Darujmy więc sobie ten opis przyrody, każdy z uczestników będzie miał ten zachód długo przed oczyma. W Warzazate odwiedzamy ścianę, która bez protestów wypłaca nam setki dirhamów, skręcamy do Benhaddou i z pewną już wprawą negocjujemy

ceny noclegów w kolejnych obozach. Jemy, śpimy, jemy, zwiedzamy, jedziemy. Tak co dzień... ale w Maroku to się nie nudzi. Rankiem zwiedzamy kazbę, która zagrała też w "Jezusie z Nazaretu" i w dziesiątkach innych hollywoodzkich produkcji. Faktycznie, nic tu nie trzeba zmieniać, plan jest gotowy, poustawiać tylko statystów i kamera start...

Mimo wszystko trochę jesteśmy już zmanierowani i po tych medynach, saharach i offroadach trudno nam zaimponować, nawet ta monstrualna wiocha z gliny nie zachwyca aż tak bardzo. Spędzamy tam dobrą godzinę, odpalamy maszyny i pędzimy do Marakeszu. Asfalt przyzwoity, zważywszy na wysokość nawet bardzo przyzwoity. Pniemy się w coraz wyższy Atlas, za sobą pozostawiamy dziesiątki kilometrów zakrętów, robi się coraz zimniej i na bokach drogi pojawia się śnieg.

Wjeżdżamy na liczącą 2260 Tizi-n-Tichka, pijemy kawę, obrzydliwą miętę i rozpoczynamy szaleńczy zjazd w dół. Jeden po drugim zamykamy nasze opony, Enzo z Jojną uciekają, ja próbuję dotrzymać im kroku, ale spory uślizg tylnego koła na jednym z zakrętów powoduje, że wraca mi rozum. Ruch na drodze niewielki i można poszaleć, ale i tak perspektywa położenia się w tym miejscu napawa grozą. Im niżej tym cieplej, góry zostają za nami i wyjeżdżamy na równinę, na której leży Marrakesz. Dojechalibyśmy bez przygód gdyby nie osioł. Objuczone zwierzę uderza w Mio i młoda para zalicza kolejną, ostatnią już glebę w Maroku. Na szczęście bez poważniejszych konsekwencji. Tankujemy tuż przed miastem, a wysoko nad nami latają dziesiątki polskich bocianów, które w tej okolicy spędzają zimę. Poszliśmy ich śladem - szacuneczek dla ptaków, mądry wybór.

Marrakesz okazał się być inny niż wszystkie miejsca odwiedzane przez nas w Maroku. To magiczne miejsce, przystań hippisów, niepowtarzalna atmosfera. Czerwone miasto, cała medyna jest w kolorze cegły. Jamaal el Fna, wielki plac w centrum tętni rytmem berberyjskich bębnów, pokrzykiwań knajpianych naganiaczy, odgłosami dziesiątek przedstawień ulicznych grajków, teatrów, akrobatów, ochami i achami zachodnich turystów.



Marakesz
autor Michał Giłka

O tak, tutaj nie brak trawelersów, spotkamy ich więcej niż we wszystkich innych miastach razem wziętych. Przekładając nasz opis na Kraków Jamal to jakby rynek główny, a my naszymi brudnymi utyranymi na pustyni i w Atlasie Afrykami wjechaliśmy na ulicę Floriańską. Manewrując wśród tłumów wzbudzamy sensację. Kilka dni później na promie do Hiszpanii ktoś nas wypatrzył wśród pasażerów i usłyszeliśmy z nutką uznania i zazdrości w głosie: "africa twin, Marrakech"...



Marakesz, przed hostelem na głównej ulicy
autor Michał Giłka

No ten wieczór jest inny od pozostałych, łazimy po tym Marrakeszu, wśród setek i tysięcy sklepików, suków, żarłodajni, kawiarni. Patrzymy, słuchamy i wączamy próbując wchłonąć

i zapamiętać jak najwięcej z tej atmosfery. Wieczorem narada i próba decyzji: co dalej? "Zgubiliśmy" jeden dzień w Hiszpanii i drugi na pustyni, nie objedziemy tych kilku przełęczy w okolicach Marrakeszu, które planowaliśmy, nie będziemy w Agadirze, nie pojedziemy w okolice Toubkalu, najwyższego szczytu Maroka. Pozostało coś wybrać: Atlantyk czy najwyższe w Maroku ponadstumetrowe wodospady?

Jedziemy na wodospady, leżą na północ od Marakeszu, "prawie" na drodze do Europy... Cascades d'Ouzoud zrobiłyby na nas wielkie wrażenie, gdybyśmy jechali w przeciwną stronę, ale teraz? No ładne, ale cóż: duża dziura w ziemi do której z wysokości wpada woda. Piękna godzinka i jedziemy dalej. Dokąd? Ano właśnie: Enzo chce jechać górami i zajrzeć do świętego miasta Moulay Idriss, a być może zahaczyć również o Volubis, słynne ruiny rzymskiego miasta sprzed 2 tysięcy lat.



Wodospady Ouzoud
autor Maciej Migda

A dziewczyny chcą nad ocean. Głosowanie i ocean górą. Zaliczamy piękne zakręty i jeszcze tego dnia na późnonocnym spacerze słyszemy fale Atlantyku rozbijające się na plaży Rabatu. Kusila nas ta oceaniczna woda i następnego dnia rano pędzimy na północ na Plage des Nations. Na niebie żadnej chmurki, a ocean wielki jak ocean.



Plaża Narodów nad Oceanem Atlantyckim
autor Mikołaj Samborski

Gdzieś hen na horyzoncie niebieskie spotyka niebieskie i to wszystko wprawia nas w jakiś fajny nastrój. Woda w temperaturze ciepłego Bałtyku nie jest nam straszna, ale wśród tubylców w zimowych kurtkach budzimy respekt. W samych majtkach wpadamy między fale, Enzo dodatkowo w kasku - tak jak obiecał w Krakowie. Każda fala wydaje się mocniejsza, jedna zmywa z nóg Mikołaja, a kolejna przykrywa swoim grzbietem Enzo.



Jojna na Plaży Narodów
autor Michał Giłka

Nawet przyłbicy nie zdążył spuścić. Wyciągamy Afryki na sam brzeg i jeździmy do upadłego (Jojna). Bez kasków i kurtek, wiatr we włosach, wiatr od oceanu. Romantyzm, przygoda i co tam jeszcze - i tak kto nie był nie zrozumie. Koniec lenistwa - smakowaliśmy już różnych dróg w Maroku - teraz czas na autostradę. Relacji z tego przejazdu nie będzie, napiszemy jednak, że dzięki temu mało znanemu w Polsce wynalazkowi po 3 godzinach oglądamy miejsce, w którym wody Atlantyku spotykają się z morzem śródziemnym. Już zmierzcha i po drugiej stronie wody widzimy światła Hiszpanii. Do portu skąd odplywa ostatni tego dnia prom wpadamy minutę przed jego odpłynięciem. Ale heca. Po drodze jeszcze tankowaliśmy, gubiliśmy i odnajdowaliśmy drogę, walczyliśmy z marokańską biurokracją, wymienialiśmy resztki dirhamów na euro i wysyłaliśmy kartki pocztowe.

Wszystko to zdążyliśmy zrobić w pół godziny. Kobieta ogląda nasze bilety i kręci głową, bilety są "open" - oczywiście ważne, ale wcześniej trzeba je zarejestrować w jakiejś kasie. Robimy wielkie oczy, oczywiście nie umiemy ablać espanol. Jakiś facet bierze tickety i macha ręką - wjeżdżamy na prom.

Po 3 minutach trochę zmęczeni, trochę śmierdzący, ale bardzo szczęśliwi patrzymy na oddalającą się Afrykę. Koniec przygody. Obiecujemy sobie, że wrócimy tu jeszcze po następne.

Tyle tego politerackiego opisu, na wypadek gdyby ktoś chciał podążyć naszym tropem:

prom Algeciras-Ceuta: motocykl + 2 osoby (bilet powrotny) - ok. 130 eurasów

paliwo w Maroku ok 1 euro

nocleg w hoteliku w medynie: ok 7 euro

nocleg w pięknej kazbie Panorama w Mercoudze: ok 7 euro

nocleg w Marrakeszu: ok. 7 euro

nocleg na pustyni: za darmo

Typowe wieczorne jedzonko: 2-3 euro

śniadanko: 1,5 euro

Alkoholu nie ma. W Marrakeszu znaleźliśmy piwo w jednym hotelu: 2,5 euro za 0,24 litra.

Skład ekipy:

Enzo Almone - lat na oko ze 30. Afryka Twin RD 07 - rocznik na oko 2005 (w rzeczywistości 1996). Okazał się być agentem w naszej zgranej ekipie. Zostawił w Hiszpanii superba na światłach, spalił Samborowi śpiwór i nie chciał jechać nad Ocean. Ale przy tym sprawny negocjator cen hotelowych. przyjaciel Berberów, poliglota, mistrz kuchenny.

Jojna i Aga - Aga z wyglądu 18-tka, ale to ciężki kaliber. Złamała Jojnie łożysko po 200 metrach jazdy. Jojna w odwecie próbował złamać jej serce, ale ostatecznie dał zaręczynowy złoty pierścionek. Jojna w ogóle jest złota raczka, tak się jednak złożyło, że na tej wyprawie naprawiał wyłącznie swój motocykl... Jojna niewątpliwie był agentem: najpierw nie włożył czterech afryk do transita, a podczas wyprawy testował nowe patenty: mocowania kufrów etc. Wszystko mu się urywało, paliło i przebijało.

Mio i Tysia - just married, wybrali się do Maroka w podróż poślubną. Tysia najbardziej rozanielona i zachwycona zachodami słońca, Mio jednak tym razem bardziej był zapatrzonej w GPS. Żonę miał już 1,5 miesiąca, a GPS był świeżym nabytkiem. Jechali na najbardziej ekstremalnym sprzęcie - Afryce przerobionej na supermoto z oryginalną, twardą jak deska kanapa marki honda. Szacuneczek. Mio też okazał się agentem: najpierw urwał kufer Jojnie, a później zabrakło mu paliwa na autostradzie. Poza tym miał GPS, ale bez mapy Maroka. Tysia mu dzielnie pomagała - próbowała rozbić w nocy auto, ale to chyba tajemnica...

Sambor i Miki - Ojciec i syn. Młody na nielegalnych wakacjach, a stary na rehabilitacji połamanej łapy. W dzień zawsze pierwsi, a w nocy zawsze ostatni. Najstarsza ekipa. Sambor + jego Afryczka a mają już 55 lat... Enzo przezwiał na tej wyprawie Sambora Matołkiem i prawie się przyjęło. Sambor był ofiarą agentów. Tylko dzięki niemu wszyscy dojechali cali i zdrowi. Był wspaniały, dbał o wszystko i wszystkich. Koleżeński, dusza towarzystwa, opowiadał świetne dowcipy, zna Afrykę jak własna kieszeń, samarytanin, nomada z urodzenia, świetny technik motocyklowy, doświadczony przewodnik, fantastyczny kierowca, globtrotter.